Nr. 25. Lwów, — 1898 r. Wydawnictwa Rok XX. Serya zmieniona.

GONIEC i ISKRA.

Czasopismo perjodyczne.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów: 10. ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów: 10. ct. w a.

Goniec i Iskra wychodzi: 15. i pierwszego dnia każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pisma humorystyczne *illustrowane* p. t. **Wesoły Kurjerek,** wychodzące dwa razy na miesiąc: 8. i 23., oraz **bezpłatne premia.** Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem** i **premiami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów »Gońca i Iskry«. kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki.* W Poznańskiem i w Niemczech: 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 frank. (4 dol.); rocznie w Ameryce połudn., w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za miejsce jego. Nadesłane po 25 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **Do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki i z Brazylii najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi lub milrejsami *w listach rekomendowanych*, albo także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora. W dnie wychodzenia pism, gdy przypada niedziela, lub święto — numera wychodzą po niedzieli, lub po święcie.

Właściciel i naczelny redaktor: **M. Dzikowski-Chamski.**

Od Administracyi.

Dla zalegających w prenumeracie.

Prosimy stanowczo i usilnie o odesłanie pocztą zalegających należytości, o które w przeciwnym razie zmuszeni będziemy upominać się otwartemi kartami korespondencyjnemi. Zwracamy też uwagę, że zwlekanie, z odesłaniem zaległej prenumeraty wyrządza krzywdę wydawnictwu i naraża na straty — a praca redakcyj polskich pism zasługuje na szczere obywatelskie poparcie.

Dla pp. Prenumeratorów w Ameryce.

Przy jednym z poprzednich numerów zawiadomiliśmy tych wszystkich panów w Ameryce, którzy zalegają w prenumeracie, aby, jak najrychlej odesłali należytości pocztą.

Powołując się na to poprzednie zawiadomienie dodajemy, że jeśli w najkrótszym czasie zaległa należytość odesłaną nie zostanie, upominać się o nią będziemy publicznie, z imienia i nazwiska, jak to jest przyjęte w amerykańskich pismach.

Straty Hiszpanji przez powstanie na Kubie.

Jak wielkie straty poniosła Hiszpanja przez powstanie na Kubie, dowiadujemy się z madryckiej gazety »Estafeta«, która podaje cyfry podług źródeł urzędowych.

Od dnia 4. marca 1892 do 30. czerwca 1898 wydał rząd hiszpański na cele przetłumienia powstań 750,000.000, zł. która to suma pożyczoną została w różnych krajach. Oprócz tego, wydano z regularnych dochodów rządowych na materjały wojenne, na żywność dla wojska, na przewóz wojsk i materjału razem 1,000,000.000 złr. Czyli razem w monecie wydano $7\frac{1}{2}$ milionów złr.

O wiele gorzej jeszcze przedstawia się niepotrzebne roztrwonienie życia ludzkiego przez rząd hiszpański. W chwili wybuchu powstania na Kubie, stało tamże załogą 12.000 żołnierzy. W ciągu dalszym wysłano na Kubę 200.000 ludzi. Straty na polu bitwy były niezbyt wielkie: tylko 1 jenerał, 90 oficerów i 1.314 żołnierzy padło trupem w czasie bitew w ciągu trzech lat. Z ran odniesionych w bitwach zmarli: 1 jenerał, 81 oficerów i 704 żołnierzy.

O wiele większe straty poniosła Hiszpania, z powodu żółtej febry i tyfusowych chorób. Na malarię i żółtą febrę zginęło: 313 oficerów, 13.000 żołnierzy. Tyfus i pokrewne mu choroby zabrały 127 oficerów i 40.000 żołnierzy.

Z każdego tysiąca ludzi zostało zabitych, lub rannych tylko 10, zmarło na żółtą febrę 66, na inne choroby zmarło 201, a 143 osób zostało wysłanych do domu, jako niezdolni do służby i pracy. W szpitalach kubańskich znajduje się obecnie około 20.000 chorych żołnierzy hiszpańskich. Zatem z każdego 1.000 ludzi przepadło 521 głów.

»Estafeta« dodaje, że może żaden naród nie poniósł tak wielkiego nieszczęścia, jak Hiszpanie, tracąc tyle ludzi.

A straty te odnoszą się tylko do końca czerwca, podczas gdy od tego czasu wielka liczba zginęła już i ginie. Telegramy donoszą nam teraz właśnie, że z odesłanych żołnierzy z Kuby do Hiszpanii, wielka liczba umiera w drodze i w szpitalach. Z ośmiu tysięcy wysłanych ze Santiago, tylko 2.000 doszło do domów, reszta pochowana w morzu lub ginie na rodzinnej ziemi od żółtej febry, tyfusu, malarji i innych chorób.

Dalej, statystyka urzędowa nie sięga do domów żółnierzy, powracających do ognisk rodzinnych, w których rozsiali zarazki chorób i samj im ulegli. Ile w domach padło trupem ofiar straszliwej wojny — o tem milczy statystyka i nie dowiemy się nigdy dokładnie.

Moloch wojny potrzebuje morza krwi, oceanu łez i nieobliczoną ilość potu ludzkiego na wyrobienie pracą pieniędzy, potrzebnych na prowadzenie wojny.

Tragedja miłośna.

Nowella.

Napisał *Ignacy Jastrzębiec*

Pięknego dnia sierpniowego 1864 roku, na dworcu kolei żelaznej w Turynie, wysiadł z pociągu przybyłego od strony Chambery, młody chłopiec. Przekroczył on zaledwie 20 wiosnę życia. Był szczupły, dość wysokiego wzrostu, o twarzy nie mającej pretensji do rysów greckich, ale inteligentnej, Widocznie po raz pierwszy wstąpił na ziemię włoską, gdyż go wszystko niezmiernie zajmowało. Przypatrywał się ciekawie ludziom, spoglądał na niebo lazurowe, słuchał z upodobaniem mowy Danta i Petrarki. Tak się zatopił w kontemplacji, że nie słyszał nawet słów posługacza kolejowego. Ten widząc nienaturalny stan podróżnego, podszedł blisko i krzyknął mu w same ucho:

— *Signore! la vettura é pronta.* (Panie powóz już gotowy.)

Młodzieniec ocknął się i flegmatycznie rzekł:

— Dobrze. Zabierz rzeczy i zanieś do dorożki.

Po chwili, siedział już w wygodnym pojeździe i zakomenderował jazdę do hotelu, poprawnym językiem francuzkim.

Woźnica zaciął konie i pojechali w miasto. Minęli ulicę Lagrange, plac Karola Alberta, ulicę Nową, plac Królewski i wreszcie wjechali w wąziutką uliczką Barbaroux. Zatrzymali się przed hotelem pod „złotym lwem“. Tam nieznajomy zapłacił kurs i kazał sobie dać skromny pokój.

W godzinę wyszedł odświeżony i zapytał portjera, gdzie się znajduje kawiarnia wenecka.

— Przy ulicy Po, pod portykami — brzmiała odpowiedź.

— Dziękuję.

Wówczas Turyn zaliczał się do najruchliwszych miast włoskich. Wrzało w nim szalone życie. Włosi upojeni wolnością, zdobytą orężem francuzkim, myśleli tylko o użyciu przyjemności wszelkiego rodzaju. Jakby za pomocą lampy Aladyna, powstawały wspaniałe hotele, pałace, restauracje, kawiarnie i teatry. Bawiono się do upadłego, a dewizę — *Italia fara da se*, miał każdy na ustach. Zapomniano już, że 300.000 bagnetów francuzkich, dopiero zadecydowało zwycięztwo nad bitną armją austrjacką. Garibaldi, dowódzca strzelców jeziora Como, był bożyszczem, a jego pochód tryumfalny przez Sycylję i zajęcie Neapolu, zaćmiły nawet sławę króla Wiktora Emanuela. Turyn był stolicą państwa. W nim rezydowały wszystkie ministerja, senat, parlament i ambasady. Miasto roiło się od obcych, a anglicy i amerykanie, rzucali hojnie złotem i tuczyli kieszenie oberżystów. Wszędzie tłumy i ledwo się można było przecisnąć. Na ulicy Po, przed kawiarniami i cukierniami, zastawione stoliki nęciły gości. Przed jedną z nich, zatrzymał się młodzieniec i kazał sobie podać filiżankę czarnej kawy.

— Henryk! jak się masz, a ty tu co robisz? — zawołał drugi młody człowiek, ubrany w huzarkę i czerwoną konfederatkę.

— Jak widzisz, przybyłem dzielić z tobą gorzki chleb wygnania.

— Miej tylko pieniądze, a możesz się pysznie bawić.

— Na skromne życie posiadam fundusze dostateczne.

— Brawo! może mnie na obiad zaprosisz?

— Z całą przyjemnością, nawet na dziesięć.

Po uregulowaniu rachunku w kawiarni, obydwaj wzięli się pod ręce i poszli do pobliskiej restauracji.

* * *

Musimy jednak zabrać znajomość bliższą z bohaterem tego opowiadania. Henryk Poleski jest polakiem i synem dość zamożnych rodziców. W 1863 roku, jako akademik, opuścił uniwersytet warszawski i poszedł bronić ojczyzny. Nie oswobodził kraju z niewoli, lecz za to, musiał uciekać za granicę. Przesiedział się w więzieniu austrjackiem, wreszcie otrzymał paszport i przez Bawarję i Szwajcarję udał się do tej boskiej krainy, gdzie cytryna kwitnie, pomarańcze dojrzewają, a kobiety wymagają miłości od mężczyzn ze sztyletem w ręku i przebijają nim za najmniejszym pozorem zdrady. Młody, dość zamożny, przytem poeta i marzyciel, wychowany na Mickiewiczu i Słowackim, snuł urocze marzenia. Zdawało mu się, że będzie pił rozkosz pełnym puharem, a włoszki, o karnacji rubensowskiej i twarzy rafaelowskiej, rozszarpią jego serce. Inteligentny i wykształcony, przytem dość rycerskiego usposobienia, myślał o wstąpieniu do wojska włoskiego, idąc za śladem wielu swoich rodaków, którzy się nawet dosłużyli stopni jeneralskich. Dość wymienić hr. Ponińskiegd, Langego, Isenschmidt-Milbitza i kilku innych. Dworzaczek był pułkownikiem karabinierów, Surmacki podpułkownikiem huzarów, Białkowski majorem. Nawet słynny Ordon, unieśmiertelniony przez Mickiewicza, służył w artylerji, jako kapitan. Poleski również miał wysokie aspiracje i przedewszystkiem chciał wstąpić do akademji wojennej.

Przy stole, obydwaj przyjaciele się rozgadali. Henryk tylko słuchał, a Karol Buniewski opowindał mu o stosunkach emigracyjnych i wcale ich nie przedstawiał w świetle różowem.

— Toś się tu djablo biedy najadł — rzekł Henryk.

— Nie jestem kuzynem Rotschilda, a mój zacny papa dobrodziej, chociaż ma grosze, ale nie lubi ich wydawać. Wiesz co odpisał na moje żale, — że z głodu jeść muszę same pomarańcze i kasztany.

— Ciekawym.

— Mam list przy sobie — posłuchaj.

Karol wyjął kopertę, dobył z niej kawałek szarego papieru i zaczął czytać głosem łzawym:

„Łajdaku!"

— A to co ma znaczyć?

— Tak mnie tytułuje dawca dni moich.

— Dalej.

...„Żądasz pieniędzy od biednego człowieka, a chwalisz się, że jesz kasztany i pomarańcze. My tu takie specjały widzimy raz na Boże Narodzenie i cała rodzina ci zazdrości. Posłałbym ze trzy ruble, ale daleko na pocztę i zresztą ekspedytor by je ukradł. Całuję cię serdecznie, twój ojciec, Kalasanty".

— Miły staruszek, ale z czegóż więc żyjesz?

— Pobieram żołd.

— Zkąd? kto go daje?

— Rząd włoski,

— I wiele masz miesięcznie?

— Czterdzieści pięć franków.

— Za co?

— Za to, że jestem emigrantem i biłem się za Polskę.

— Cóż to włochow może obchodzić?

— Niedawno uzyskali niepodległość i teraz chorują na obrońców ludów uciśnionych. Po obiedzie zaprowadzę cię do komitetu. Tam ci pensję z góry wypłacą.

— Nic dobrego włochom nie wyświadczyłem i nie myślę brać od nich pieniędzy.

— Zwarjowałeś. Jeżeli ty nie weźmiesz, to sekretarz schowa do kieszeni.

— Niech mu szczęście służy.

Karol spojrzał z politowaniem i wzruszył tylko ramionami.

Po skończonym obiedzie, przyjaciel ofiarował się Henrykowi za cicerona. Poszli oglądać miasto, które swoją elegancją i czystością mogło imponować każdemu. Przed cytadelą zwrócił ich uwagę okazały pomnik zwykłego żołnierza.

— Któż jest ta osobistość? — zapytał.

— Piotr Micca.

— Znam go z historji Sardynji. Z narażeniem życia uniósł na rękach pochodnię, rzuconą do składu prochu, przez francuzkiego artylerzystę i ocalił liczną załogę.

— Byłeś zawsze erudytem. Pamiętam je szcze z gimnazjum kieleckiego. Brałeś pierwsze nagrody.

— A ty siedziałeś w oślej ławce.

— Cóż ci nauka pomogła? Dziś jesteś takim samym tułaczem, jak ja.

— Zawsze to skarb drogi.

— Wolałbym mieć w pugilaresie kikaset lirów.

— Te szczęścia nie stanowią.

— Mówisz, bo nie jesteś głodny. Poczekaj koteczku jakiś czas, a przekonasz się, że filozofowanie przy pustym żołądku, to zupełny absurd. Nędza jest straszną, a ja jej doświadczyłem tutaj w Turynie.

Henryk spojrzał ze współczuciem na swego towarzysza broni i umilkł. Wychowany w dostatkach, nie miał pojęcia o biedzie. Przyjrzał się jej nieco, podczas krótkiego pobytu w Monachjum i Zurichu. Widział emigrantów żebrzących pomocy u bogatszych kolegów. Chętnie dawał, lecz jeszcze nie pojmował, że ludzie nie jedzą czasem po kilka dni i umierają z wycieńczenia.

Za powrotem weszli do letniej cukierni. Pełno w niej ludzi, a przed każdym lody, lub limoniada owocowa. Wszyscy się chłodzili, bo upał dochodził 40 stopni i gorąco było nie do zniesienia. Obok, przy drugim stoliku siedziała z towarzyszem jakaś dama wykwintnie ubrana. Pełno na niej brylantów, a toaleta jedwabna zdradzała gust niepośledni. Henryk spojrzał i utopił oczy w tej wymarzonej piękności. Włosy czarne, oczy tegoż samego koloru, ćmiły blask djamentów. Kibić wysmukła, a twarz o regularnych rysach przypominała posągi Fidjasza i Praksystelesa.

— Coś się tak zapatrzył? — spytał Karol.

— Człowieku z głazu, czyż nie widzisz tej kobiety?

— Znam ją nawet ze sceny. Jest spiewaczką w operze królewskiej. Nazywa się Łucja Viale. *La bellezza di primo cartello.*

— A jej sąsiad?

— Pewno kochanek.

— Może brat, lub mąż?

— O święta naiwności! czyż nie wiesz, że włoszki zostawiają mężów w domu, a z braćmi nigdy nie chodzą.

— Bluźnisz mój drogi. Przecież i w teatrze można znaleźć kobiety uczciwe.

— W powieści, ale nigdy w rzeczywistości. Miej tylko franki, ale grube, to zobaczysz, jak cię będzie uwielbiała. Gdy wydasz ostatniego *marenga**), wyrzuci cię za drzwi i *Comédia finita.*

— Nie zgadzam się z twemi zapatrywaniami. Wierzę w miłość i jestem pewny, gdy pokocham, zostanę zapłacony tą samą monetą i to do grobu.

Karol parsknął głośnym śmiechem. Włoszka się obróciła i zaczęła przyglądać się obydwom.

— Co to za ludzie? — szepnęła do swego towarzysza.

— Sądząc po stroju, pewno polacy. Pełno ich teraz w Turynie. Przybyli tutaj szukać gościnności. *Poveri, ma nobili genti. Tutti marchesci, conti, principi.* Trzeba tu dodać, że włosi mieli przesadzone pojęcie o naszem szlachectwie. Zdawało im się, że mieszkańcy Polski składają się z samych książąt, margrabiów i hrabiów. Zresztą, emigranci pomagali im do tego, nadając sobie rózne fałszywe tytuły i stopnie. W Turynie, wśród powstańców, oprócz kompanii kosynierów, którą z Iglawy przywiódł kapitan Zaklika, nie było ani jednego prostego żołnierza. Każdy się mianował jenerałem, pułkownikiem, majorem. Kapitanowie liczyli po 20 lat, a do rangi porucznika nikt się niechciał przyznać.

Włoszka coraz baczniej przypatrywała się Henrykowi. Ten pod wpływem jej palącego wzroku, spuścił oczy i zarumienił się.

— *Bello giovine*, (ładny chłopiec) — znowu szepnęła.

— *Non tanto, come pensate* (Nie tyle, co pani myślisz) — odrzekł włoch. Widocznie zazdrość dyktowała te słowa, bo Henryk, jakkolwiek nie mógł rywalizować z Antinousem, zawsze jednak mógł uchodzić za młodzieńca przystojnego.

Słuchał on słów, których nie rozumiał i w duszy przysiągł nauczyć się prędko po włosku. Karol szyderczo poruszał ustami, lecz nic nie mówił.

Zniecierpliwiony włoch podniósł się. Ofiarował ramię spiewaczce i wyszli. Henryk pogonił za nimi oczyma, lecz prędko mu zniknęli. Chciał wyjść i pójść ich śladem, ale Karol go zatrzymał.

— Nie bądź narwanym. Gdybyś posiadał miliony, mógłbyś się ubiegać o jej względy. Inaczej naraziłbyś się tylko na śmieszność.

— Przed kilkoma minutami mówiłeś jednakże, że gdybym miał pieniądze...

— Nie takie, jakie posiadasz. Zresztą, podobno ona stanowi wyjątek i jest cnotliwą, o ile włoszka może być nią.

— Okropny z ciebie pesymista

— Mieszkam tu dłuższy czas i dość dobrze poznałem zwyczaje włoskie.

* * *

Upłynęło pół roku. Henryk już się dobrze poduczył po włosku i mógł wybornie porozumiewać się tym językiem.

Mieszkał przy ulicy Borgo Nuovo i na drugiem piętrze zajmował skromny apartamencik, złożony z salonu i pokoju sypialnego. Właścicielka, p. Salvini, bardzo go polubiła i zapraszała często do siebie. Poznał się z sąsiadami. Obok niego mieszkał Eugeniusz Ferro, współredaktor *Gazety turyńskiej.* Poznajomili się prędko i wkrótce zawiązali ze sobą serdeczny stosunek przyjazni. Włoch żywy, pełen zapału, przytem otwarty i szczery, zjednał sobie szybko Henryka. Kieszeń nie zawsze była pełna u niego, ale humoru miał za miljony. Kochał się szalenie w swojej Anicie i przysięgał, że się z nią ożeni. Dziewczyna była ładną i dobrą, nawet wykształconą. Razem uczęszczali do teatru, na koncerty, a potem spożywali skromną kolację w *Tratorii*, gdzie podawano pyszne *risotto*, lub *maccaroni col formagio.* Naprzeciwko zajmowała kilka pokoi poważna staruszka, wraz z córką Rosittą. O rękę tej ostatniej starał się nadworny malarz królewski, signor Lodorico Lucatti. Rositta liczyła lat ośmnaście, była świeża, jak róża. Konkurent przeszedł już pięć dziesiątek, ale posiadał znaczny majątek i dzień ślubu był już naznaczony, Raz wieczorem, gdy wszyscy siedzieli na tarasie, zapytał się jej Henryk, czy kocha swego narzeczonego?

— Naturalnie. Przecież on mi da przyzwoite utrzymanie. Kupił kolczyki brylantowe, będzie sprawiał suknie jedwabne i chodził ze mną na operę.

— Czy to pani wystarczy do szczęścia?

— Może i nie. Lecz zadowolenia poszukam gdzieindziej. Pięknych chłopców nie braku e w Turynie.

Henryk zadrżał. Więc i to młode dziewczę, zostające pod ciągłym nadzorem matki, jest już zgangrenowane i myśli o zdradzie męża. Zaczął pogardzać córkami Ewy i postanowił nigdy nie pokochać włoszki.

Przyjaciel Karol często go odwiedzał. Dzięki protekcji, dostał miejsce w banku i dobrze mu się powodziło. Opowiadał o swoich sukcesach miłosnych i zachęcał Henryka, aby poszedł w jego ślady. Ten jednak nie dał się skusić i prowadził żywot istnego anachorety. Czasem, przed jego oczyma stawała urocza śpiewaczka, którą raz widział w cukierni, lecz i ta prędko się zacierała w umyśle. Czytał, uczył się i przygotowywał do egzaminu wojskowego. Chciał bowiem wstąpić do szkoły kawaleryjskiej w Pinerolo.

* * *

W kilka dni później po rozmowie z Rosittą, Henryk przechodził około mieszkania swojej gospodyni.

*) Sztuka dwudziestofrankowa.

— *Signor Errico! prego entrate. Mio mareto non é a casa.* (Panie Henryku! proszę wejść. Mego męża nie ma w domu.) — rzekła pani Selvini i zaprosiła go do salonu.

— Czem pani mogę służyć?

— Powiem panu wielką nowinę.

— Słucham.

— Siostra Rositty przyjeżdża dziś z Petersburga.

— Cóż to za jedna.

— Śpiewaczka. Zabawi tutaj kilka tygodni.

— Czy ładna?

— *Miravigliosa!* Nad Newą szaleli za nią, a książęta moskiewscy rzucali jej pod nogi kolje brylantowe.

— Naturalnie przyjmowała.

— Któż ich nie bierze. — Przy tych słowach gospodyni westchnęła. I ona kiedyś była ładną.

— W gruncie rzeczy, mało mnie to obchodzi.

— A ja powiadam, że się w niej zakochasz.

— Przenigdy. Znasz pani moje usposobienie. Miłość i ja, są to dwa bieguny, które się nigdy ze sobą nie spotkają.

— Zobaczymy. Gotowa jestem trzymać zakład.

— Chętnie, ale o co?

— Jeżeli przegram, zaproszę pana do siebie na dobry obiad. Wygram, kupisz lożę do teatru.

— Zgoda.

Na drugi dzień rano, Henryk otrzymał od pani Salvini zaproszenie na obiad. Wystrojony we frak i białą krawatę, stawił się punktualnie o godzinie 6 wieczorem. Zastał kilka osób.

— Gdzież jest ów ideał piękności? — zapytał po cichu panią Salvini.

— Niebawem nadejdzie.

Zaledwie wymówił te słowa, otworzyły się drzwi i weszła dama rzeczywiście piękna. Henryk oniemiał. Poznał swoją śpiewaczkę z cukierni.

— *Signior Errico Poleski, un cavaliere polacco.* — *Signora Lucia Viale* — brzmiało obopólne przedstawienie przez gospodynię domu.

Włoszka podniosła oczy, przypatrzyła się bacznie Henrykowi i po chwili dodała:

— Mnie się zdaje, że już w życiu spotkaliśmy się ze sobą. Ale gdzie?

— Pomogę jej pamięci. W cukierni, niedaleko cytadeli. Byłaś pani w towarzystwie jakiegoś przystojnego mężczyzny. Upłynęło już sześć miesięcy.

— Tego sobie także nie przypominam. Poczekaj pan... Tak, tak. Miałeś na sobie jakiś mundur wojskowy. O! ja bardzo lubię oficerów. W Petersburgu znałam kilku kawalergardów i huzarów. *Charmants garçons!* Wiesz pan, co mu powiem. Zrobiłeś na mnie pewne wrażenie. Przyglądałam się jego świeżej twarzyczce, jeszcze niezepsutej. Była tak pogodna. Zresztą zauważyłam ładne oczy.

Henryk pobladł. Nie wiedział, co mówić. Nakoniec wybąknął:

— Pani także wyryłaś się głęboko w moim umyśle.

— Może się we mnie zakochałeś? — Wybuchła śmiechem serdecznym i podając rękę Henrykowi, rzekła:

— Strzeż się mnie, jak ognia. Miłość moja, to koszula Nessussa. Zerwiesz ją, ale razem z sercem i zginiesz. Przynoszę tylko nieszczęście. *Povero ragazzo!* (biedny chłopiec) — Z pewnem uczuciem pocałowała go w głowę i odeszła.

Henryk stanął jak wryty. Poczuł, że gorąco zaczyna ogarniać głowę, a serce walić jak młotem. Myśli szalone cisnęły się do mózgu. Chciał uciec, nawet wyjechać z Turynu tego samego wieczoru. Spojrzał jednak w stronę, gdzie stała Łucja i los jego był już zdecydowany. Pozostał i ten jeden obiad w towarzystwie nadobnej włoszki, przekonał się, że miłość powstaje czasem nagle i niepodobieństwem jest wyleczyć się z niej.

Łucja była nadzwyczaj uprzejmą dla Henryka. Opowiadała, że w Rosji spotkała kilku polaków. Każdy z nich odznaczał się dobrem wychowaniem i elegancją. Stawiała ich wyżej od rosjan. Ci bowiem przy kolacjach upijali się i tłukli butelki szampańskiego.

— Więc pani uczęszczałaś na podobne uczty?

— Musiałam. Rozumie się, w licznem gronie artystów i artystek opery. We dwójkę — nigdy i o tem bądź pan przekonany. Nie kochałam tam nikogo i żyłam tylko dla mojej ukochanej sztuki.

— A tutaj we Włoszech, czy pani jesteś wolną? — zapytał Henryk nieśmiało.

— Zawsze, mój dobry panie. Łucja Viale nie sprzedaje się, jak czynią inne koleżanki. Jeżeli pokocham, to bezgranicznie i tylko z przekonania. Biada jednak wybranemu, gdyby nie umiał godnie odpowiedzieć. Spojrzała na Henryka i ze swoich ócz wyrzuciła snop błyskawic. Brwi się zmarszczyły groźnie i w tej chwili wyglądała jak bogini zemsty. Była przecudowną. Henryk przyglądał się jej z uwielbieniem, połączonem z pewnego rodzaju obawą.

— Ta kobieta wpłynie fatalnie na moje życie — pomyślał. Nie dopił czarnej kawy, pożegnał towarzystwo i wyszedł. Udał się nad brzegi rzeki Po i błądził po ustronnych alejach. W głowie wrzało, jak w kotle maszyny parowej. Czuł, że porywa go uczucie straszne. Chciał się opierać, monologował do siebie, lecz wreszcie zmęczony, wrócił do domu. Na schodach doszły go dźwięki fortepianu i śpiew. Łucja nuciła barkarolę Gounoda, będącą wtenczas w modzie. Stanął. Prześliczny jej głos rozlegał się wśród ciszy, pełno w nim było rzewności. Nareszcie zabrzmiał ostatni akord i przez okno otwarte dosłyszał kilka słów urywanych. Ona także monologowała.

— Być może pokocham... ja także chcę użyć szczęścia prawdziwego... później niech będzie potop...

Znowu siadła do fortepjanu i zagrała szaloną galopadę z operetki „Orfeusz w piekle“. Zdawało się, że pod uderzeniem jej palców klawisze pękają, a instrument wali się z podstawy. Następnie popłynęła piosnka Schumanna. Tęskna, o tonie łagodnym, ale tak miłosna, że Henrykowi łzy stanęły w oczach. Lucja wykonała ją koncertowo i z niezwykłem uczuciem.

— Chodźmy wreszcie spać. Dość tych marzeń — rzekła do siebie. Zamknęła okno i oddaliła się do innego pokoju.

Henryk wrócił do siebie i śnił cudownie. Marzył, że Łucja spuszcza się do niego z obłoków niebieskich. Ubraną była w białą suknię, z różową przepaską. Wreszcie zbliża się do niego, całuje w usta i przyciska jego głowę do piersi.

— Kawa już gotowa — wrzaśnie jakiś głos. Obudził się i ujrzał służącego z tacką.

— Niech ci szatani połamią kości. Miałem taki sen uroczy — rzekł z gniewem do Mattea. Ten nic nie odpowiedział i wyniósł się na palcach.

* *

— *Signore!* mam panu coś ważnego do zakumonikowania. — Słowa te wygłosiła do Henryka, panna Rositta, spotkawszy go na balkonie.

— Słucham.

— Czy pan wiesz, że dziś środopoście.

— Nie.

— I że wszędzie dziś tańcują.

— Także nie.

— I że będzie bal maskowy w teatrze *Gerbino.*

— Również nic o tem nie wiedziałem.

— Cóż to pan gazet nie czytujesz?

— Przeglądam je codziennie, ale mnie dział zabaw nie interesuje.

— Źle robisz *carissimo.* Trzeba życia używać, dopóki się da — i zaczęła nucić arję Traviaty:

„Więc pijmy, więc pijmy
Rozkosz pełnym puharem“.

— Masz pani ładny sopran — rzekł Henryk. — Powinnaś była wystąpić na scenie.

— Dość jednej śpiewaczki w rodzinie... Ale, ale, o czem to ja mówiłam...

— O balu maskowym.

— Prawda. Przyjdź pan dziś do teatru. Zabawimy się dobrze. Będzie Ferro z Anitą, mój narzeczony, kapitan Agostini, margrabia Caravelli i kilku innych naszych znajomych.

— Cożbym robił w tak licznem towarzystwie?

— To, co i my. Tańczył, intrygował, potem zjadł dobrą kolacyę, i poszedł spać do domu.

— Tym programem nie jestem zachwycony.

— Będzie także moja siostra.

— Panna Łucja?

— Innej nie mam. Jesteś pan dobry chłopiec i powiem mu w sekrecie, że Łucja pokaże się w czarnem koronkowem dominie, z dwiema białemi kameljami we włosach. A więc, do widzenia na balu maskowym.

Henryk zaczął dumać i ciągle mu się nasuwało pytanie — pójść, czy nie pójść? Wreszcie postanowił odegrać rolę spartanina i zwalczyć namiętność do tej, którą już ubóstwiał.

— Nie pójdę — rzekł do siebie i z miną smutną, poszedł na śniadanie do węgierskiej restauracji Gaszparika, gdzie się stołowali polacy.

— Cóż tak ponuro wyglądasz? — zagadnął go rotmistrz szaserów Kawka, oficer z 1831 roku.

— Trudno się zawsze śmiać.

— Żal mi cię kolego. Utop frasunek w winie a wszystko zapomnisz.

— Nie tym sposobem goją się rany moralne.

— Koteczku! mnie się wydaje, że ty jesteś zakochany — i stary wojak spojrzał się uważnie w oczy Henryka.

— Nie.

— Kłamiesz, a to nieładnie. Synu, strzeż się, bo cię spotka nieszczęście. Uwielbiaj wszystkie kobiety, ale nigdy jednej. Rób tak, jak my. Co kwatera, to kochanka. Opuszczasz miasto i już o niej zapomniałeś.

— Czy tak samo postępowałeś?

— Zawsze. Dla tego dziś, mimo sześćdziesiątki, trzymam się ostro i borykałbym się z samym djabłem.

— Jednakowoż słyszałem coś innego.

(C. d. n.)

Ciekawe rzeczy.

Rozległość języków. Językiem angielskim posługuje się codziennie 125,000.000 ludzi; rosyjskim 90,000.000; niemieckim 75,000.000, francuskim 55,000.000; hiszpańskim 45,000.000; włoskim 35,000.000.

Szczególna stacja pocztowa. Stacja pocztowa, jedyna na świecie znajduje się w cieśninie Magelana. Jestto biało pomalowana beczka, przykuta łańcuchem do skały nadmorskiej na przylądku Tiera del Fuego. Okręty tamtędy przepływające, wysyłają łodzie do tej skały i zabierają listy i korespondencje w niej zawarte, celem dalszej przesyłki, a nawzajem wrzucane bywają listy z okrętu, gdy tenże dąży w inną stronę. Jest to urządzenie, służące na pożytek wszystkim narodom.

W okolicy Pekinu, na przestrzeni kilkunastu mil kwadratowych, rozłożone są grobowce cesarzy chińskich. Sam grobowiec, to zwykła mogiła wysoka, obrosła drzewami i krzewami, których korzenie, wedle wierzeń chińskich, chronią nieboszczyków od nagabywań złych duchów. Daleko wspanialsze są długie aleje, wiodące do każdego grobowca. Aleje te wysadzone są kamieniami, postaciami zwierząt, a więc słoni, wielbłądów, lwów, tygrysów, koni, osłów i posągami ludzi, mandarynów, sławnych wojskowych i cywilnych, którzy cesarzowi służyli. Monumenta te ogromem i wspaniałością równać się mogą egipskim.

Pod Paryżem wykończono teraz budowę olbrzymiego więzienia, które zastąpić ma trzy dotychczasowe wielkie więzienia. Więzienie to, urządzone jest podług najnowszych wymagań hygienicznych. W oddziale dla chorych, urządzone są tusze, kąpiele, elektryczność itd., tak, iż w prasie francuskiej nieomal z zazdrością o tem piszą. Oddając więzienie do użytku, powiedział prezydent Thiullier, że więzienie w dzisiejszych czasach ma dwojakie znaczenie. Dziś już nie jest czas, ażeby winowajców ka-

rano złem obchodzeniem się z nimi, lecz trzeba im dać sposobność, ażeby mogli przez dobre obchodzenie się z nimi, uznać swe błędy i przez dobre prowadzenie się zmazać winę. Więzienie musi więc tak być urządzone, ażeby podniosło moralność człowieka. Na pewno liczyć można, że tak wspaniale z wszelkiemi wygodami urządzone więzienie, nigdy nie będzie miało braku lokatorów.

Ile życie jast warte, o tem opowiada profesor Drumond, autor książki pod tytułem: »Co jest najlepszem w świecie?« następujące zdarzenie: „Niedawno temu podróżowałem przez Ocean. Pewnego wieczora rozmawialiśmy z kapitanem, który nam między innemi opowiedział o zdarzeniu, którego przed kilku laty był świadkiem. Znajdował się na okręcie, u którego śruba nagle się złamała. Aby szkodę zreperować, wyciągnięto oprawę; ponieważ atoli przegrody natychmiast nie zamknięto, wstąpiła woda przez otwór do okrętu, tak iż w kilku minutach począł tonąć. Aby się ratować, odwiązano łódki ratunkowe, a kapitan wstąpił do jednej z nich, która już była przepełniona. Noc była ciemna i morze burzliwe, tak iż było mało nadziei, że łódka szczęśliwie do brzegu przypłynie. Po niejakim czasie spostrzegli światła zbliżającego się statku; lecz jakże mieli dać znak od siebie? — Szukali w łódce i znaleźli starą latarnię; potem szukali zapałki. Każdy szukał w swoich kieszeniach, lecz napróżno. Kapitan kazał, żeby jeszcze raz szukano i rzeczywiście, jeden znalazł zapałkę w kieszeni i dał ją kapitanowi. Majtkowie obstąpili kapitana i nadstawili swoje kamizelki, żeby go przed wiatrem zasłonić. Kapitan powiadał, że w różnych przykrościach i niebezpieczeństwach się znajdował, ale jeszcze nigdy takiej odpowiedzialności nie odczuwał, jak wtedy, gdy tę zapałkę zapalał. Szczęśliwie ją zapalił; potem zapalili latarnię, a gdy nią machali, spostrzeżono ten znak z okrętu, który przypłynąwszy przyjął ich do siebie i tak wszystkich ocalił.

Dlaczego miała ta zapałka taką wartość? Ponieważ była jedna. To jest także przyczyną, dlaczego życie nasze ma taką wartość; — ponieważ każdy tylko jedno życie ma. Gdy je zmarnujemy, tedy tej szkody niczem nie powetujemy. Kto się nad tem zastanowi, ten zrozumie słowo Pańskie: »Cóż pomoże człowiekowi choćby wszystek świat pozystał, a na duszy swojej szkodował? albo co za zamianę da człowiek za duszę swoją?« (Mat. 16, 26).

Wiek człowieka. Przeciętny wiek człowieka wynosi 33 lata. Czwarta część narodzonych umiera przed 17 rokiem. Na 100 ludzi tylko 6 dożyje 60 lat, a 80 lat dożyje tylko 1 człowiek na 500. W każdej minucie umiera przeciętnie 60 ludzi, a wię 1 na sekundę.

A tak pamiętaj człowiecze: Co sekunda odchodzi jedna dusza do wieczności; niebawem nadejdzie twoja sekunda.

Pamiętaj powtóre: Gdyś dożył 17 lat, dożyłeś łaski, której nie dostąpiła połowa twoich rówieśników. Jeżeliś zaś dożył 60 lat, tedy ci Pan Bóg wyświadczył osobliwą łaskę. Czyś już kiedy o tem pomyślał?

W końcu pamiętaj: Niepewna to rzecz odkładać swe nawrócenie do późnego wieku. Powyższe liczby dowodzą bowiem, że maleńka tylko liczba się zestarzeje, a największa część umiera w młodości.

Handel Stanów Zjednoczonych. W roku bieżącym fiskalnym, Stany Zjednoczone eksportowały towarów za 1200 miljonów dolarów, z czego trzy czwarte przypadają na Europę. Przywóz do Stanów Zjednoczonych wynosił zaledwie połowę powyższej sumy, z której blisko 300 miljonów dostarczyła Europa. Największym odbiorcą tych towarów, jest Anglja, bo zabiera prawie połowę towarów ztąd wywożonych, natomiast dostarcza tylko jednę piątą ogólnej sumy importu. Powyższe zestawienie wykazuje, że w obecnej chwili Stany Zjednoczone coraz bardziej skupiają w swojem ręku handel świata, już teraz bowiem, zaledwie po 122 latach istnienia, sprzedają innym krajom o połowę więcej towarów, niż kupują.

Szczegółowe dane statystyczne za rok przeszły nie są jeszcze gotowe, w każdym razie dane za jedenaście miesięcy, wystarczają, by dać pojęcie o rozmiarach handlu Stanów Zjednoczonych. I tak: Europie Stany zjednoczone sprzedają trzy razy więcej towarów, niż od niej zakupują, wywóz bowiem wynosił dol. 901,014,787, gdy tymczasem przywieziono z Europy towarów tylko za dol. 281,091,002. Do Kanady i Meksyku wywóz wynosił dol. 121,125,929, a przywów ztamtąd dol 81 287,488. Do Afryki wywóz wynosił dol. 16,097, 559, przywóz dol. 6,786,017.

Inaczej ma się z Azją, Połndniową Ameryką i Australją. Dostarczają one stanom daleko więcej towarów, niż potrzebują. I tak: Południowej Ameryce Stany sprzedały towarów za dol. 30,748,846, a sprowadziły ztamtąd za dol. 85,859,245. Do Azji wywóz wynosił dol. 41,561,531, przywóz zaś ztamtąd dol. 85, 381,158. Wywóz do Australji dol. 19,979,555, przywóz z Australji dol. 23,365,132. Trzeba przytem zaznaczyć, że co, handlu z Azją, to pomimo olbrzymiej konkurencyji państw europejskich, import ze Stanów Zjednoczonych zwiększył się o 15 procent.

Wogóle, Stany Zjednoczone dostarczają coraz więcej towarów innym państwom, a coraz mniej potrzebują obcych towarów. I tak 1896 roku wywieziono do Europy, więcej towarów niż przywieziono i przeszłym zaś roku trzy razy więcej. W stosunku z Kanadą i z Meksykiem, przewyżka wywozu nad przywozem wynosiła w 1896 roku 20 miljonów dolarów, a w roku przeszeszłym 50 miljonów. Wywóz zaś do Ameryki Południowej podwoił się w ostatnim roku.

Nie było w przeszłym roku państwa, któreby nie liczyło się do odbiorców Stanów Zjednoczonych. Zacząwszy od Anglji, która zakupiła towarów przeszło za 500 miljonów, aż do Paraguaju, który przyniósł niecałe tysiąc dolarów, wszystkie kontynenty, kraje i wyspy nabywały towary od Stanów Zjednoczonych.

Z powiększaniem się wywozu towarów, zmniejsza się też przywóz obcych. W przeciągu jedenastu miesięcy 1890-7 zakupiły Stany Zjednoczone towarów obcych za dol. 679,547, 391, gdy tymczasem w przeciągu ostatnich jedenastu miesięcy, tylko za dol. 563,770,032, a więc mniej przeszło o 116 miljonów dolarów. Jeżeli doliczymy i czerwiec, to prawdopodobnie otrzymamy 600 miljonów za rok przeszły przeciwko dol. 764,730,412 za rok zaprzeszły. Anglja zajmuje przy przwozie tak samo pierwsze miejsce, jak i przy wywozie, dostarczyła bowiem towarów za dol. 101,454,480, a zakupiła za dol. 501,756,265.

Cyfry przywozu z innych, znaczniejszych, państw do Stanów Zjednoczonych przedstawiają się jak następuje:

Niemcy za dol. 61,916,809, (wywóz do niemiec dol. 143,416,065), Brazylja dol. 53, 203,762, (wywóz do Brazylji dol. 12,594,163), Francja dol. 49,480,413 (wywóz do Francji dol. 87,012,841), Kanada dol. 28,528,538 (wywóz do Kanady dol. 76,160,414, Indje Angielskie dol. 24,164,842, Japonja dol. 23, 130,891 (wywóz do Japonji dol. 19,250,415), Chiny dol. 19,494,387 (wywóz do Chin dol. 9,036,727), Włochy dol. 18,209,368 (wywóz do Włoch dol. 21,839,377), Meksyk dol. 16, 142,491 (wywóz do Meksyku dol. 19,304,687).

HOŁD.

Nowella.

Niewolnicy bogatego Fabjusa, napróżno łamali sobie głowę, czemu towarzysz ich Marek, zwany pospolicie pięknym Markiem, jest wiecznie smutny i zamyślony?

Zdaniem tych ludzi, nie było ku temu najmniejszego powodu. Wszystkim bowiem dobrze się działo w domu bogatego patrycjusza. Pan był litościwy i dobry; nie szczędził jadła, ni napoju, nie przeciążał pracą, nie karał nigdy prawie. A już Markowi zazdroszczono powszechne szczęścia — piękny, o kształtach półboga, był ulubieńcem pana, czytywał mu utwory poetów, grywał na lirze... Zwracały się zanim pożądliwe oczy nieomal wszystkich, bardzo licznych w domu Fabjusa, niewolnic. Ale Marka nie nęciły ku sobie, ani zmysłowe wargi cór wschodu, ani żarem płonącem usta gallijskich dziewcząt, ani idalne rysy i klasyczne kształty greczynek. Obojętnym pozostawał na miłosne piosenki i wezwania, a na gorące spojrzenia, odpowiadał zimnem, beznamiętnem spojrzenieniem swych cudnych, jak lazur nieba, pod którem żył, oczów.

I nie tylko niewolnice zwracały pożądliwy wzrok na Marka; podziwiały rzadką urodę jego i wolne obywatelki miasta, gdy szedł ulicami ludnego Rzymu. Ale Marek, zawsze jednako zamyślony, zdawało się, nie spostrzegał tysiącznych promieni, co zbiegały się nad jego jasną głową. Słudzy Fabjusa mawiali, że często bardzo wymyka się nocami z domu, zdążając spiesznym krokiem w odległą dzielnicę miasta, gdzie Tybr toczy swe wody. Opowiadano, że podczas tych wycieczek, rzuca się na nadbrzeżną mnrawę i, zasłuchany w szmer fali, marzy i marzy o swej dalekiej ojczyźnie, lub śpiewa tęskne pieśni.

I rzeczywiście tak było; noce, które spędzał sam z sobą, przynosiły mu ulgę, ukajały tęsknotę za rodzinnym krajem, Marka bowiem męczyło jarzmo niewoli. Jako małe i drobne dziecko, przywieziono go do Rzymu wraz z matką; matka po roku umarła, pożarła ją tęsknota; ona to przypominała mu ciągle umiłowaną ojczyzuę, każde słowo głęboko utkwiło w duszy dziecka, a dziecko rosło i mężniało w przyjaznych warunkuch. Nie zaznał nigdy głodu, ani pragnienia, uczono go nawet z synem Fabjusa; powoli zapomniał ojczystej mowy. Dziwna jednak rzecz! im bardziej zacierały się w umyśle wspomnienia dzieciństwa, tem większa tęsknota przepalała duszę. Wychowany i wyrosły w kraju blasków i słońca, wzdychał za śniegami ojczystej ziemi, chłodnej i mroznej zimą, cudnej wiosną. Marzył o uroczystym gwarze liściastych lasów, wchłaniał w myśli ożywczy zapach prastarych drzew, woń kwiatów leśnych i modlił się do bogów, opiekunów tych puszcz odwiecznych, a bogowie ci wydawali się Markowi lepszymi i doskonalszym, niż rzymscy.

Zdarzało się Markowi, że gdy zasnuł się w morzu rozpamiętywań, gdy omotały duszę tysiączne, niewyraźne wspomnienia, zapominał o rzeczywistości. Wówczas śpiewał o ukochanym kraju i marzył o wolności.

* * *

Majestat cichej nocy zmącił rozpaczliwy krzyk kobiety i pijane śmiechy mężczyzn. To kilku młodych ludzi, uzbrojonych w pałki, pastwiło się nad dziewczyną. Wracając, zapewne z nocnej bachanalii, spotkali zapóźnioną kobietę. Napadli na bezbronną i rzuciwszy ją na rozpostartą togę, podrzucali w górę, jak piłką, bawiąc się przestrachem i trwogą zalęknionej.

— Czy słyszycie?—zawołał nagle jeden — co za cudny śpiew dochodzi z oddali?

— Na głowę Jowisza — odpowiedział drugi — czegoś podobnego nigdym jeszcze nie słyszał tutaj.

— Zostawmy tę dzierlatkę w spokóju, a sami chodźmy bliżej posłuchać.

— Słusznie mówisz — zawtórowała rzesza cała — dajmy poklask śpiewakowi.

Rzucili kije i poszli, kierując się głosem. Niespostrzeżeni przez Marka stanęli opodal.

— Boskie pacholę, ciebie chyba Apollo zrodził! — zawołał przodujący mężczyzna. Marek drgnął i obejrzał się poza siebie.

— Brawo młodzieńcze — mówił dalej, a zwracając się do obecnych dodał — oto poeta i śpiewak godzień walczyć o palmę pierwszeństwa. Słuchaj, młodzieńcze, jutro staniesz zemną do zapasów pieśniarskich, wobec całego dworu.

— Sobie śpiewałem, a nie światu — nie chcę.

— Tęsknisz za wolnością, uzyskasz ją, lecz pod tym tylko warunkiem.

— Wolność, wolność! I kto ty jesteś, który obdarzasz mnie upragnioną swobodą — ażaliś bogiem?

— Objaśnij go Tigellinie.

— Winieneś większe uszanowanie twej mowie, przed tobą stoi boski Neron, władzca potężnego imperjum, pan życia i śmierci, swobody i niewoli.

Marek zadumiony pochylił głowę.

— Wszak prawda — szepnął Neron do towarzyszy — zwyciężę go jutro? A po-

tem będziemy walczyć o lepsze wobec zgromadzonego ludu na Forum Romanum. Bój godny wielkich zapaśników, prawdziwie wielkich poetów. Czuję już rozkoszne bicie serca w dniu zwycięstwa, dzień tryumfu mego bliski! — I nie czekają odpowiedzi, ująwszy Marka za ramię, podążył naprzód. Obecni milczeli.

* * *

Uczta zbliżała się ku końcowi; cezar powstał. Monotonnym głosem, kołysząc się rytmicznie, począł śpiewać, a właściwie recytować, o dawnych bojach greków. Pieśń była długa, a przedewszystkiem niepomiernie nudna. Na twarzach słuchaczy, w miarę, jak Neron śpiewał, odmalowywało się coraz większe i większe znużenie. Neron jeden tylko nie spostrzegł tego, był przekonany, iż pieśń jego porywa zebranych, budzi w ich duszach bohaterskie odgłosy, dumą błyszczały mu oczy, unosił się własnemi słowami, upajał rytmem swego głosu. Skończył; słuchacze odetchnęli, rozpoczęły się urzędowe pochwały, fałszywe zachwyty!

— Nie teraz, nie teraz! —wołał zapłoniony Neron — niechaj obce pacholę nam śpiewa. Czemuż się ociągasz Marku? Śpiewaj, uzyskasz wolność, wrócisz możny i potężny do twej ojczyzny, będziesz pracował nad dobrem twego narodu, a pamiętaj, iż dotrzymuję obietnic!

Słowa cezara dodały bodźca Markowi. Głos cichy i z początku nieśmiały, z każdą chwilą rósł i potężniał. Bo oto zapomniał, że znajduje się wobec cezara i licznego jego orszaku; śpiewaka owładnął zapał! Zapomniał o wszystkiem... Co mu ludzie! śpiewał sam dla siebie. A w pieśni swej zamknął całą gamę uczuć; to cieszył się niedaleką wolnością, to znów płakał, że może nikogo z bliskich sercu w puszczach nie znajdzie. Wszystko jedno! i tak będzie szczęśliwy. Oto idzie wiosna! Więc szmer lasu ukołysze go do snu, a woń kwiatów upoi. Kwiaty, a tak je kocha, wśród kwiatów będzie usypiał, snem na kwiatach, stanie się jego życie.

Audytorjum słuchało zdumione, z zapartym oddechem. Kobiety płakały! senatorowie, posiwiali dygnitarze państwa, podnieśli się z miejsc. Czegoś podobnego nie słyszano tu nigdy.

Tylko jeden cezar był chmurny i zamyślony.

Umilkł Marek, obecni chciwem uchem wsłuchiwali się w cichnące echa pieśni, jakby obawiając się szeptem rozchwiać wrażenie.

— I cóż — zapytał Neron najbliższego zausznika — komu z nas oddałbyś palmę pierszeństwa?

— Tobie, boski, a wraz ze mną wszyscy.

Cezar spojrzał uważnie w około i zdało mu się, że ci wszyscy spoglądają nań szyderska, ze źle ukrywanym złośliwym uśmiechem. Poznał w tej chwili, że rzesza spodlonych służalców, nie będzie umiała schlebiać jego próżności, że każda banalna pochwała jest dłoń policzkiem, że ten obcy niewolnik podbił i oczarował wszystkie serca; poznał całą moralną swą nędzę, a jednocześnie wezbrała mu w piersiach fala zawiści.

— Kłamiesz! i wszyscy kłamiecie — zawołał, rzucając na ziemię kryształową czarę — hańba mi! oto mą sławę, niezrównanego pieśniarza i poety, zaćmił Marek niewolnik. Lecz, słuchajcie i patrzajcie: Neron umie być sprawiedliwym i wspaniałomyślnym. Oddajmy Markowi cześć! Oto nalewam czarę i, jak na cześć cypryskiej pani, strząsam z niej pianę u stóp Marka. Wy, czyńce, co i ja. Złóżmy mu wieniec, patrzcie, oto ja pierwszy przystrajam laurem skroń tryumfatora. Marek patrzał i patrzał zdumiony, nie wierząc własnym oczom. Jakto: cezar i najpierwsi dygnitarze wieńczą skroń niewolnika? Nie sen li to?

— Marzył o śnie na kwiatach — wołał Neron, podniecając się własnemi słowami — niech się spełni wola jego. A wy podziwiajcie chwałę niewolnika, którego, o boleści! wieńczy zwyciężony Neron.

W tej chwili wydał cezar cichy rozkaz przybocznemu zausznikowi i kiedy już wszyscy złożyli swe wieńce u stop niewolnika, skinął ręką. Skinął i wnet z pod wysokich stropów lunął na wpółleżącego na miękiej sofie Marka, deszcz kwiecia. A Marek, rozmarzony pochlebstwami i winem, wchłaniał pełną piersią zapach ukochanych kwiatów. Minęło wiele chwil, deszcz kwiatów nie ustawał; obecni, ciasnem kołem otoczyli cezara, spoglądając strwożeni, to na Marka, to na swego władzcę. Zrozumieli bowiem, iż komedja, jaką odgrywa cezar, będzie miała tragiczny epilog.

Warstwa kwiatów, które spadały na Marka rosła i rosła. Bohater i ofiara tego dziwnego tryumfu, coraz trudniej oddychał, woń odurzała go, sen zmagał; napróżno pasował się sam z sobą, nie mógł pokonać znużenia i zasnął słodko uśmiechnięty. Zasnął, aby się już nigdy nie zbudzić...

— Patrzcie! — rzekł cezar, wskazując na ciało uduszonego — Neron umie czcić cnotę i talent.

Powojczyk.

Sztuka zachowania młodości.

Angielskie gazety zamieściły niedawno szczegółowe wiadomości o Adelinie Patti. Diva została bardzo nabożną. Z taką gorliwością haftuje kapy i obrusy do kościoła, iż zaledwie znajduje czas na fotografowanie się, które jest jej namiętnością. Próżność ta jest może jedynym grzechem jej wdowiego życia. W zamku swym Craig-y-nos trzyma stałego fotografa, artystę w swej sztuce.

Patti na ostatnich fotografiach wygląda na lat 28. Nie dowodziłoby to jeszcze niczego, gdyż mogłoby być zasługą tylko retuszera, ale Patti rzeczywiście ma być mistrzynią w zachowaniu młodości. Liczy obecnie około 55 wiosen, a wygląda, jeżeli nie na wiosnę, to przynajmniej na lato w pełnym rozkwicie. Ciemne włosy zachowały specjalny połysk metaliczny; błyszczące oczy nie straciły ognia młodości; pięknych rysów twarzy, nie szpeci, ani jedna zmarszczka; płeć idealnie biała.

Na pytanie, co używać trzeba, aby pozostać młodą, odpowiada: przedewszystkiem trzeba być zawsze w dobrym humorze i nie dawać przystępu żadnym smutkom, ani zmartwieniom; następnie, prowadzić regularny tryb życia, bo tego nie zastąpi żaden kosmetyk.

Patti prowadzi życie bardzo regularne. Wstaje o 9-ej, bierze kąpiel, następnie zjada śniadanie, składające się z rosołu z kury i odrobiny jarzyn, czasami jedno jajko, lub owoce: jabłka, winogrona, lub śliwki — inny owoc uważany jest za szkodzący piękności. Po śniadaniu używa masażu. Oprócz masażu używa Patti jeszcze różnych olejków do wcierania, co uskutecznia jednakże sama, nazwę ich trzymając w wielkiej tajemnicy. Śniadanie drugie o godzinie 1-ej; składa się ono zazwyczaj z bulionu, ostryg, ryb, sałaty, jarzyny i mięsa. Na stole nie ukaże się nigdy potrawa korzenna, lub sos ostry. Obiaduje o godzinie 7-mej; menu składa się z lekkiej zupy, nawpół surowej wołowiny i świeżych jarzyn. Na zakończenie ryż słodzony, ser słodki i kremy. Lodów nie jada nigdy, ze względu na głos; wina czerwonego nie pije, ze względu na cerę; również mało używa chleba i wody. Spać może tyle, ile chce, wszędzie: w domu, w wagonie, na powietrzu, w garderobie teatralnej, najchętniej naturalnie w sypialni swej, gdzie przez cały dzień okno musi być na rozcież otwarte, w nocy jednak hermetycznie zamknięte. Przed pójściem na spoczynek i rano przy wstawaniu, naciera kark i szyję spirytusem, utrzymując, iż temu zawdzięcza, że nigdy nie miewa kataru. Sport uprawia chętnie; jeździ konno i na bicyklu, wiosłuje, strzela do celu i t. p. Codziennie, bez względu na pogodę, godzinę spaceruje i gra chociaż pół godziny w bilard.

Rzadko która z naszych, kobiet może takie wygodne prowadzić życie. Ale każda może zastosować się do najpierwszej rady Patti: powinna być zawsze w dobrym humorze i odpędzać od siebie smutne myśli, zmartwienia i niepotrzebny gniew, a zachowa młodość swą na dłuższe lata.

Suchoty.

Nieomal każda cięższa choroba zapowiada się pewnymi, jej tylko właściwymi objawami. Dzięki temu, nieraz całkowitemu jej rozwinięciu zapobiedz możemy rozsądnem wobec niej zachowaniem się.

Jak objawiają się nadchodzące suchoty? Oto najpierw kaszlem. Naturalnie, nie mamy tu na myśli kaszlu, wywołanego lekkiem zaziębieniem, lub zakrztuszeniem się, gdyż ten wkrótce mija, lecz kaszel, który nas przy lada przyczynie całymi tygodniami, nieraz miesiącami męczy, pobudzając nieustannie do suchego pokaszliwania i wywołując przytem ochrypłość. Jestto jeden z najpewniejszych objawów nadchodzącej strasznej choroby, którą suchotami zowiemy, pochłaniającej rocznie około 180 000 ludzi w samem państwie niemieckiem.

Wkrótce występują groźniejsze objawy choroby. Prócz kaszlu, wytwarza się w ustroju ciała naszego, coraz większa skłonność do szybkiego trawienia sił. Kłucie i boleści w piersiach, lub między łopatkami bywają dalszemi oznakami suchot. Chory powoli na wadze traci, miewając w nocy, po wieczornej febrze, silne, trawiące poty. Zwykle już teraz wyrzuca z siebie mniej, lub więcej ciemno-zielonawej flegmy, której ilość rano szczególniej się wzmaga.

Czas teraz największy pomyśleć o środkach zaradczych, nim choroba jest w stanie zupełnego rozwinięcia. Lekarstwa na suchoty dotychczas nie znamy, któreby samo przez się chorobę usunąć mogło. Mamy atoli dużo środków naturalnych, którymi chory stan swój nietylko polepsza, lecz nawet, jeżeli nie zapóźno, zupełnie wyleczyć się może. Znamy przecież ludzi, którzy w młodości na płuca zapadając, krwią już spluwali; ciż sami doczekali się jednak, przez rozsądne zachowanie się wobec choroby, lat matuzalowych. Środki, które natura nam daje, są najlepszem lekarstwem przeciw suchotom. Najpierw czyste, świeże powietrze, tak w pomieszkaniu, jak na dworze. Dniem i nocą niechaj zatem otwiera chory okna, by ten najgłówniejszy czynnik zdrowia, miało zdrowe powietrze wolny wstęp do pokoju, w którym pracuje, lub sypia.

Unikać także należy powietrza zepsutego omijając teatra, zostawiając sale balowe itd., gdyż pobyt w lokalach tych, jest prawdziwą trucizną dla suchotników.

Częste kąpiele, zmywanie zimną wodą piersi, płukanie ust, wiele do polepszenia stanu przyczyniać się będą.

Niemniej w swoim, jak w interesie swych najbliższych i bliźnich, nigdy suchotnik na podłogę spluwać nie powinien, gdyż z zasychających plwocin, ulatniają się mi liony zakaźnych ciałek, zatruwających powietrze. W potrawach, niech okrasy nie przebiera, gdyż spożywać może wszystko. Przegotowane mleko zalecane jest, jako środek posilający.

Jak zepsutego powietrza, tak i wszelkiego kurzu suchotnik unikać powinien. Gdy zaś praca koniecznie tego wymaga, aby był w kurzu, niechaj nosi przy ustach t. zw. respirator (oddychacz).

Każde zaziębienie, ku grobowej desce chorego zbliża. Przeziębienia szczególnie więc chory wystrzegać się powinien. Jeżeli zaś takowe nastąpi, niechaj weźmie na poty, podczas których pod pościelą ręcznikiem w zimnej wodzie zmaczanym, a dobrze zawsze wyżymanym, wycierać się powinien. Postępując za temi radami, niejeden suchotnik długie jeszcze lata światem cieszyć się będzie.

Teatr — literatura — sztuka.

Inne zadanie ma farsa, zwana po polsku grzecznie krotochwilą, a inne, komedja, która się znowu z ludźmi włóczącymi po świecie niegrzecznie obchodzi, bo ich bije po nosie, a nie, rzadko i niżej. Tak mówi literacka krytyka

wprawdzie górniej, jak to się wyżej powiedziało, ale to samo.

Głośna na całe Niemcy, a więc, niezawodnie za głośna, bo niemcy dobrze o sobie wrzeszczeć umieją, farsa: *Pod białym koniem*, posiada wiele zalet wesołej sztuki, nie bez talentu przez pp. Kadelburga i Blumenthala skonstruowanej, noszącej na sobie wszystkie znamiona niemieckiej jowialności, okraszonej filisterskim humorem, w którym szczyptę satyry pokrywa duży plaster banalnej wesołości.

U nas, *Pod białym koniem* szerokiej publiczności podobało się. Sala teatralna rozbrzmiewa śmiechem, a kasa pęcznieje od każdego przedstawienia. Zdrowo tedy jest, skoro śmiechu od ucha do ucha, a monety w bród. *Pod białym koniem* posiada jeszcze tę zaletę, że pomimo wesołości, niema w tej farsie nic takiego, coby skrobało po uszach, lub wywoływało niesmak. Takie rzeczy trzeba grać szybko, a nawet trochę jaskrawo i wypukło. Tak ją więc i u nas grano, a jestem pewny, że wcale jej lepiej nie wystawiono w Berlinie. Zręcznie też bardzo i pomysłowo był skonstruowany deszcz, tak sobie swobodnie padający na scenie, jak na dworze.

Dużą rolę komiczną, fabrykanta berlińskiego miał p. Feldmann; grał ją znakomicie, z przepyszną swobodą komiczną i przedziwną prostotą.

Rola gosposi *Pod białym koniem* nie ze wszystkiem leży w charakterze talentu p. Czaplińskiej, ale swoją drogą, grała ją sympatycznie.

Pan Kliszewski rolę rozamorowanego kelnera, wybornie wyzyskał i oprócz głębszej charakterystyki, otulił ją pociągającą miękkością i ciepłem, szczególniej w trzecim akcie.

Doskonale uchwycił typowe rysy młodego adwokata p. Hierowski, grając go z akcentem szczerego humoru.

Postać młodego człowieka, przedwcześnie wyłysiałego, przepysznie odtworzył p. Walewski, a panna Jankowska, która coraz więcej składa dowodów prawdziwego talentu w pewnym kierunku charakterystycznym, jako narzeczona, dzielnie dopomagała.

Pan Morozowicz, świeżo zaangażowany artysta z Warszawy, w roli poczciwego starego profesora, okazał wyraźne i dodatnie rysy charakterystycznego artysty.

Wyróżniła się jeszcze energiczną grą p Nałęcz i w malutkiej rolce kelnera »od wina« p. Ogińska, grą pełną powabu i smaku.

Małe charakterystyczne epizody, dobrze i pomysłowo odegrali pp. Wysocki i Kwiatkiewicz.

Ładnie śpiewała jakąś tyrolską piosnkę p. Miłowska. Taniec tyrolski p. Solnicki z p. Bogdanowiczówną wykonywują z prawdziwym aplombem choreograficznym. Zbiorowe sceny równie, jak i drobne epizody, grano bardzo starannie

Sztuka wyreżyserowana była doskonale.

Tensam.

Nareszcie, Gustaw Fiszer powrócił na scenę lwowską. Zyskała na tem scena, zyskała sztuka, zyskała dyrekcja — zyskał i sam artysta — wszyscy skorzystali, nawet krytyka, bo będzie miała o jednego więcej, z którym się liczyć musi, a licząc się, sprawiać sobie przyjemność.

Pan Fiszer rozpoczął swoją stałą artystyczną służbę *Chorym z urojenia*, naturalnie w tytułowej roli. Dobrze zrobił, że wybrał tę jedną z najlepszych swoich ról molierowskich, którą gra koncertowo i tak ją grał i teraz.

Liczna publiczność zgotowała ulubionemu artyście gorącą owację. Od artystów otrzymał p Fiszer wspaniały wieniec. Były kwiaty i od innych. Jednem słowem ciepło było i miękko. Grzmiało od oklasków i okrzyków. Artysta, niezawodnie odczuł tę serdeczną demonstrację.

Mollierowską sztukę odegrano z wielką starannością i z zachowaniem wszystkich charakterystycznych sytuacyj i szczegółów. W pysznej roli pokojówki brylowała, jak zawsze, p. Stachowiczowa. Dawniejsza obsada uległa drobnej zmianie — grali wybornie wszyscy.

Pożyteczne i praktyczne wiadomości.

Karmin indygowy, jako środek do rozpoznania świeżości mleka. Gdy się do mleka doda parę kropli roztworu karminu indygowego tak, że mleko przybiera barwę blado-niebieską, to barwa ta znika z czasem wolniej, lub szybciej. Zjawisko to, według francuskiego uczonego Duclaux, polega na działaniu pewnych bakteryj przyczem zabarwienie tem szybciej znika, im rozwój bakteryj jest większy, czyli im mleko jest starsze. Wyższa temperatura przyspiesza również odbarwienie. Mleko świeże przy ciepłocie poniżej 15° C. zachowuje zabarwienie niebieskie najmniej 12 godzin, przy 15—20° C. najmniej 8 godzin, a przy temperaturze ponad 20° C. najmniej 4 godziny, (Przegl. Mleczarski).

Żądło pszczół, ós, szerszeni, komarów (kopruchów) zawiera truciznę, którą owad przy ukąszeniu do rany wpuszcza. Trucizna wywołuje szybkie opuchnięcie, a nieraz nawet i śmierć, chociaż tylko w takich razach, jeżeli przedtem owad siedział na ścierwie (padlinie). Aby temu zapobiedz, należy miejsce opuchnięte obkładać czystą wodą, zaprawioną octem lub solą, albo też obłożyć surowem owocem. Dobrym środkiem też jest amoniak, a zwłaszcza ichtjol, których nabyć można w drogerjach i aptekach.

Zbytnie używanie soli. Mylną jest zasada, że obfite pożywanie soli wzmacnia człowieka; dzieje się przeciwnie, bo właśnie wtedy krew szuka sobie innej drogi wyjścia i z tego powstają choroby. szczególnie nerek. Z tych powodów należy soli używać zawsze w miarę Instynkt człowieka winien sam regulować ilość w pożywieniu. Niestety instynkt nasz mamy dziś zwykle zupełnie przytłumiony.

Ptaki i rolnictwo. Amerykański „Farmers Bulletin“ zawiera — jak pisze „Rolnik“ — rozprawę F. F. L. Beala p. t. „Stosunek niektórych ptaków pospolitych do rolnictwa“. Autor rozpatruje w niej rolę, jaką odgrywają niektóre ptaki w rolnictwie, badając zawartość żołądka dla przekonania się, co stanowi ich pożywienie i odpowiednio do rezultatu klasyfikuje je na ptaki szkodliwe i ptaki użyteczne. Kukułka, dzięcioł, kruk, są niezaprzeczenie użytecznemi. Na obronę tak często oskarżanego wróbla, przytacza autor to, że on spożywa dużo nasion szkodliwych chwastów, czego dotąd nie brano pod uwagę Obwiniano go, że zjada nasiona służące do pożywienia, (co jest prawdą.) że zjada niektóre owoce, jako to wiśnie, że karmi się wyłącznie i stale owadami szkodliwymi lub mającymi przykry smak, albo nieprzyjemną woń, a nie uwzględniono usług, jakie oddaje, spożywając nasiona szkodliwych chwastów.

Sposób konserwowania mięsa. Duński zoolog, August Fjelstrup odkrył nowy praktyczny sposób konserwowania mięsa, po trzechmiesięcznych próbach wykonanych w rzeźni akcyjnej w Odense. Postępowanie jest bardzo proste, a polega na możliwie najdokładniejszym usunięciu z mięsa krwi, najłatwiej ulegającej zepsuciu. W tym celu, ogłusza się zwierzę wystrzałem z rewolweru, nabitego odpowiednim ładunkiem w środek czoła tak, aby nie roztrzaskać czaszki, poczem otwiera sie szybko nożem jedną komorę sercową. przez którą wypuszcza się wszystką krew. Do drugiej zaś komory, wstrzykuje się niezwłocznie za pomocą szprycy do wszystkich naczyń krwionośnych roztwór soli kuchennej, odpowiednio stężony. Cały proces trwa zaledwie kilka minut, a poćwiartowane mięso doskonale się konserwuje. Podczas walnych zgromadzeń w Odense i Aarhus, metodę Fjelstrupa dokładnie wypróbowano i wszyscy znawcy przyznali jej wielkie zalety; z miejsc zaś, do których wysłano mięso w ten sposób zakonserwowane, nadeszły korzystne relacje. Metoda Fjelstrupa, jeżeli się istotnie okaże tak praktyczną, jak się zapowiada, będzie miała wielkie znaczenie dla krajów eksportujących produkty zwierzęce, które obecnie narażone są na wielkie straty z powodu częstego zamykania granic dla przewozu żywych zwierząt, przez kraje importujące.

Myśliwi i gospodarze dziwią się, dlaczego jastrząb, czychający godzinami na jedną mysz, nie rzuca się na wrony, gawrony, lub kawki. Silniejszym jest on od nich bez wątpienia i po części większym od największego kruka. Są zimy, podczas których mało jest myszy w polu, a do kur i do drobiu w ogóle dobrać się mu nie tak łatwo. Jastrząb nieraz ginie z głodu, choć chmury całe gawronów i wron kołują nad jego głową Na zręczności m. z pewnością nie zbywa, musi więc być inny powód. Jakiż to powód?

Niedawno jasną otrzymałem odpowiedź. Na dziedzińcu siedział, grzebiąc spokojnie dziobem, wielki nieprzyjaciel zbożowych stert: gawron. Oczywiście, nie zwracałem na niego uwagi, po chwili jednak posłyszałem trzepotanie piór i lekkie krakanie. Spojrzałem w stronę gawrona. Leżał już martwy w śniegu, a na nim siedział olbrzymi jastrząb. Wkrótce zaczęło szumieć coś gwałtownie w powietrzu. a niebawem niezliczone mnóstwo gawronów opadło jastrzębia. Widząc niebezpieczeństwo, wzbił się w powietrze z błyskawiczną szybkością W minutkę, jednak, ujrzałem go kołyszącego się w chmurach, otoczonego zewsząd mnóstwem gawronów. Padł wreszcie rozszarpany. Większa jest widocznie łączność w państwie nadpowietrznem, niż u nas — ludzi.

Od Redakcji i Administracji.

Księgarnia polska w Brooklynie (Ameryka). Cztery dolary otrzymaliśmy na wiadomą należytość. Koszta przesełki pism naszych, opłacony jest obecnie do d. 1. lipca b. r. o przysłanie reszty prosimy.

P. Siwik, restaurator na dworcu kolejowym w Jaśle. Należy nam się od Pana zaległa prenumerata: 3 złr. 40 ct.

P. Habura, restaurator w Nowym Targu. Zaległa należytość pańska wynosi 2 złr. 50 ct. Zechcesz pan odesłać ją bezzwłocznie.

Kilku panom, zgłaszającym się przez karty korespondecyjne na tem miejscu odpowiadamy, że na kredyt pism naszych nie posełamy, a kalendarz illustrowany: „Lwowianka“ ci tylko otrzymają, którzy zapłacą prenumeratę z góry za poł roku, t. j. 4 złr.

R. T. w Chicago. Na kredyt nie posełamy, tem bardziej do szanownych rodaków w Ameryce, którzy potem ze zrobieniem nura od płacenia, nie robią sobie żadnej subjekcji.

Autorom wierszy: „Jesienią“ „W górach“, „Do ukochanej“, „W pamiętniku“ — utwory panów, ani w „Gońcu i Iskrze“, ani w „Wesołym Kurjerku“ drukowane nie będą,

Szan. Związek naukowo-towarzyski w Krakowie. Prosimy nadesłać nam dokładny adres „Związku“, gdyż numera pism naszych, adresowane na ulicę Lubicz 30, poczta zwraca z napisem: „Adresat nieznany“.



Odpowiedzialny za redakcję i wydawca: **Fr. Ks. Kowaliszyn.** Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.